

JÓZEF LASOŃ.

# Pułk drugi.

(Ze wspomnień Legionisty).

1

VI.

Z końcem września chwilowo przeniesiony zostałem do II pułku, który się wówczas formował w Krakowie. Z żalem rozstawałem się z kolegami, przemaszerowawszy do Krakowa, przydzielony zostałem do XII kompanii, która wówczas stała na kwaterze w Dębnikach, w szkole męskiej. Przez pierwsze dni ćwiczenia z nowozaciężnymi rekrutami, poczem do stałem się do kancelaryi w randze podoficera rachunkowego. Rozpoczęły się gorączkowe dni pracy, siedzenia przy biurku, spisywania rekrutów, wydawania legitymacji. Gdy po całodziennych ćwiczeniach przyszło jedną i drugą noc przesiedzieć przy biurku nad monotonną pracą, zatęskniło się za marszem. Za życia polowem. Ale niedługo pozostaliśmy na kwaterze. Po kilku dniach przyszedł rozkaz wymarszu. Premaszerowała kompania przez Kraków, za kompanią żołnierze w rękach nieśli kotły, prowiant i bagaże. Nie było wówczas jeszcze zorganizowanego trenu. Przyjechalśmy do Bochni, tam stał III. batalion II. pułku, kapitana Fabrynego, do którego to batalionu przydzielona została nasza kompania. W następnych dniach wymarsz do Wiśnicza, jednodniowe ćwiczenia batalionu, poczem powrót do Krakowa.

Zaiste, dziwnie wtedy wyglądał żołnierz polski. W całym batalionie ubranych w mundur było około dwustu, reszta w cywilnych, starych ubraniach. A nie mogli się doczekać żołnierze na te mundury, tak ich niecierpliwość paliła, gdyż jak najprędzej chcieli się ubrać w mundur — aby na żołnierza wyglądać, a nie na jakiegoś obdartusa.

Raz, pamiętam, przy rannej wizycie lekarskiej stanęło z XII kompanii coś ze dwudziestu chorych.

Lekarz, dr. W., kazał im się rozebrać, poczem przystąpił do badania.

Pierwszy żołnierz badany, chłop jak dąb, pierś wypukła, siła, muskuły, jak u silacza, skarży się, że piersi boją, że suchoty zaczynają go brać.

— Gdzie was kłuje? — pyta lekarz.

— Tu, tu — odpowiada akcentem lwowskim, wskazując na lewą pierś.

Bada lekarz, słucha i słucha, piersi zdrowe.

— Tu was boli?

— Tu!

— A gdzie jeszcze?

Pokazuje lekarzowi, że raz tu, drugi raz tam. Lekarz bada, ale nic podejrzanego nie znajdując, zgniewany, rzecze:

— Kłamiecie! Chłop zdrow, jak dąb!

— Ta, panie obywatelu lekarzu! Ta, jak ja mam być zdrow, ta ja nie mam ani butów, ani munduru. Ta, jak ja mam być zdrow, ta ja muszę być chory!

— Tak, to o to wam chodzi? — pyta lekarz, śmiejąc się.

— No, tak!

— Który tam jeszcze taki chory? — zwraca się lekarz do reszty rozebranych.

— Ja! ja! — odzywają się głośno.

Okazało się, że przeszło połowa chorych na buty, na czapkę, mundur i t. p.

— Do kompanijnego zwrócić się przy raporcie — zgniewany lekarz mówi — nie mnie tu głowę napróżno zawracać!

Każdy dzień życia w Legionach, to karta niezapomniana w życiu, która dziś, jak sen, przypomina się, najdrobniejsza nieraz scenka staje przed oczyma, jak żywa, snują się obrazy, jedne mniej, drugie więcej pamiętne.

29. września dostali żołnierze mundury, czapki, buty; wprawdzie nie dla wszystkich starczyło, ale ci, którzy dostali, uszczęśliwieni byli nadzwyczaj. Zamieniono stare karabiny Werndla na nowiutkie greckie, które lekkością i celnością strzału dorównywały najnowszemu modelowi Manlichera.

Ze środy na czwartek dnia 30 września, o drugiej godzinie w nocy odmaszerował nasz batalion na nowy dworzec towarowy, gdzie we wagonach towarowych poczęto lokować żołnierzy.

Pozostałem jeszcze w Krakowie, aby pakować z kilkoma innymi, przeznaczonymi do trenu żołnierzami, zapasy intendatury. Paowiantów nie było żadnych, rozdano bowiem poprzedniego wieczoru każdemu po bochenku chleba, kawałku kielbasy i wędzonki. To był cały prowiant na drogę. Niewiadomo było, dokąd właściwie jedziemy i wiele dni będziemy

w drodze, tak, że nikt nie myślał o prowiantach kilkunastu dniowych. Każdy był zdania, że jutro będziemy na miejscu.

O szóstej godzinie rano ostatnie nasze wozy przeciągały przez miasto. Opustoszały był Kraków, poszczególne tylko jednostki przesuwają się po ulicach. Wsunąłem się na wóz z kocami, zakopany w nich, obserwowałem śpiące jeszcze miasto.

Przechodnie ciekawie się nam przypatrywać zaczęli, niektórzy chustkami powiewali, żegnając polski pułk, który na długie miesiące walki jechał.

Ledwie zdołaliśmy ostatnie fury wladować do wagonów, pociąg ruszył. Kilkadziesiąt osób, stojących na peronie, powiewać poczęło chusteczkami, żegnając: — Cześć! Czołem! Czuwaj! — rozległy się okrzyki.

Rozśpiewała się wiara, w lot pochwycili melodyę stojący na peronie i przepiękna pieśń zabrzmiała:

W dzień wrześniowy i ponury,  
Z pod wawelskiej idąc góry  
Szeregiem krakowskie dzieci i t. d.

Rozniosła się po dworcu, niezagłuszona hukiem i świstem maszyny, zdająca się dosięgać echem... aż stóp Wawelu... tej przecudownej świątyni wawelskiej... drogą sercu każdego Polaka.

Z przednich wagonów wysunięta biała chorągiew z Matką Boską Częstochowską i orłem polskim wiatr począł powiewać, jakby i on pokłonić się chciał polskiej stolicy.

Wyjeżdżamy powoli za Kraków. W oknach domów zbudzeni mieszkańcy stoją, rękami ukłony zasylają.

A pieśń coraz silniej, coraz piękniej brzmi, daleko roznosi ją echo:

Patrz na tego Manlichera,  
Każdy człowiek nie umiera,  
A jeśli da Bog i t. d.

Niejedno oko łzą zabłysło, niejednemu myśl posępna przez mózg się przesunęła, ale z piersi jeszcze potężniej pieśń wydzieraa się.

Wpakowałem się do wozu towarowego, do pierwszego plutonu. Było nas w wozie około czterdziestu, to trochę, jak na daleką drogę niewygodnie. Rozciągnęliśmy koce i na poczekaniu jakie takie prowizoryczne legowisko zrobiliśmy.

— Obywatelu rachunkowy!

— Co jest?

— Dokąd jedziemy?

— Przed siebie! — odparłem flegmatycznie.

— No, niby tak — roześmiał się szesnastoletni Jan Halitef — ale gdzie wysiadziemy? Mroczkowski mówił, że na Węgry jedziemy, do jakiegoś Munkacza.

— Jak wicie, co się pytacie!?

— Niby, nie wiem dokładnie — odparł rezolutnie.

Przejeżdżamy przez miasteczka galicyjskie, witanie owacyjnie przez publiczność. Wieczorem dojeżdżamy do Cieszyna. Godzinę przeszło pociąg stał, niejeden wyskoczył z wozu ukradkiem, aby coś ciepłego kupić w restauracji.

Nocą przejeżdżamy przez granicę węgierską i przesuwają się przed nami cudne krajobrazy ziemi węgierskiej. Przedzieramy się tunelem, przebijającym Beskidy zachodnie. Przecudne krajobrazy! Miejscami jedziemy pomiędzy wysokimi szczytami gór, to znów nad rzeką, w skale wykuta droga, której tor kolejowy położono. Rozkoszujemy się balsamicznym powietrzem, zapachem świerków i jodeł przepelnionem. Pierwszy to raz w życiu patrzyłem na ziemię węgierską i już na pierwszy rzut oka zdała mi się w bogactwo zdobną, dobrobyt przynoszącą.

Pomimo dość silnego raanego chłodu przy drzwiach stoimy, patrząc na przesuwające się przed nami krajobrazy.

Stajemy na stacyi w Iglo. Udaję się do bufetu kolejowego, chcąc wypić szklankę kawy lub herbaty. Ścisk olbrzymi i natłok, trudno się dostać bliżej. Wreszcie, po długich tarapatach, dostaję z trudnością szklankę herbaty obrzydliwego smaku, za którą w dodatku trzeba sześćdziesiąt halerzy zapłacić.

— Niema, jak w Krakowie! — wzdycham — Za tę cenę kilka herbat wypić można!

Wlókł się tak dzień za dniem, przejechalśmy już Koszyce, jedziemy teraz w północno wschodnim kierunku. Przed nami przesuwają się pociągi z III. pułkiem i II., my prawie że ostatni jedziemy. Niedziwota też, że nic na stacyi zjeść nie było można, wszystko wykupiły poprzednie bataliony.

To już trzeci dzień podróży, żołnierze pozjadali prowianty, a tu kupić niema gdzie. Wydać się na miasto nie można, bo niewiadomo, kiedy pociąg ruszy w dalszą drogę. Zależne to od transportów wojsk, które masami poczęto przesuwac przez tę linię kolejową.

Żołnierz siedzi w ciasnym kącie, przemęczony, niewypoczęty i głodny w dodatku. Co można było

kupić, kupiono, sierżanci, jak zwaryowani, gonili po dworcu, ale to wszystko za mało. Wreszcie dostają żołnierze pieniądze, gdyż nie sposób nic kupić. Ba! Ale pieniędzy jeść nie można, a w dodatku, gdzie staniami na stacyi, z wagonów wychodzić nie wolno z obawy przed epidemią choleryczną, która wówczas na Węgrzech grasować poczęła, lecz została energicznie w zarodku zniszczoną.

Czwartego dnia dojeżdżamy do Csap. Stacya duża, rzęsiście oświetlona, na peronie mnóstwo osób się kręci, wyczekuje na pociąg, zdążający do Budapesztu To uciekinierzy. Przed najazdem wroga uciekli, z majątku swego i kilkuletniego dorobku zabierając tylko to, co unieść zdołali z sobą. W poważnych obliczach znać trwogę i przygnębienie. Rozpaczliwe to obrazy. Tu jakaś młoda kobieta z dwojgiem drobnych dzieci, z niemowlęciem na ręku, stoi zapłakana, nerwowym głosem dopytuje się o pociąg najbliższy. Tu i ówdzie grupkami snują się ludzie, znękanie, ogromem nieszczęść przybici.

Patrząc na nich ze współczuciem i litością. Srogi to zaiste los. Kompanijny Dziekanowski zwraca się do mnie, mówiąc:

— Parę godzin tu będziemy stali, trzeba by coś ciepłego żołnierzom dać!

— Kuchni nie będziemy przecież tu zakładać!

— Trzeba iść na dworzec dowiedzieć się.

Wychodzę z wagonu, rozglądając się po dworcu. Za dworcem kolejowym kuchnię jakąś widać. To kuchnia armii austriackiej. Zbliżam się do żołnierzy, pytając o komendanta. Za chwilę przychodzi komendant. Przedstawiam mu sprawę, że chcielibyśmy coś gotowanego odkupić dla naszego batalionu. Objasnia mi, żeby z kancelaryi przyniósł kwit, to wyda. Dał mi żołnierza, który mnie zaprowadził do kancelaryi, mieszczącej się w gmachu dworca.

Wchodzę śmiało do kancelaryi, zasalutowawszy, przedstawiłem oficerowi dyżurnemu sprawę, podnosząc, że już cztery dni nasz batalion nie miał jedzenia i prosilem, aby wystawił kwit.

Wystawił mi kwit na dwie kompanie, tłumacząc, że dla więcej żołnierzy nie starczy.

Uradowany, pobiegłem do kompanijnego, pokazując mu kwit. Piorunem zebraliśmy dwie kompanie i do kuchni je podprowadzili. Ale przecież i drugie kompanie muszą dostać — myślę sobie.

Zwracam się do kucharzy:

— Wystarczy jeszcze dla pięćset ludzi porcy?

— Herbata tylko jest, ale trzeba kwit.

Powtórnie udałem się do oficera kuchni. — Z miłą chęcią podał mi kwit do podpisania, a potem spytał, w jakiej randze jestem, widząc mnie przy szabli bez żadnych innych odznak. Przedstawiłem mu się, podał mi rękę na pożegnanie i rzekł: — Szczęścia, powodzenia życzę! Bijcie jak najwięcej Moskali!

— Cześć! — odrzekłem, wychodząc.

— Cześć! Cześć! — patrząc za mną, odpowiedział.

Z zadowoleniem przypatrywałem się raczącym się obywatelom, szczęśliwym, że udało mi się dostać dla nich żywności.

— No! Jak wam smakuje?

— Bycza! bycza! Tylko, że bez rumu!

— Chleb jest?

— Jest!

Powróciłem do kompanijnego. Ucieszył się, że sprawa dobrze poszła, że udało się coś wyrwać dla batalionu.

Znużenie mię ogarnia. Wyciągam się na ławce, po kilku nocach nieprzespanych sen mnie ogarnia natychmiast.

Ze snu wyrzywa mnie szarpnięcie ręką. Zrywam się, przecierając oczy.

— Co jest?

— Rachunkowy!

— Tak. Rozkaz!

— Świecę latarką, poznaję adjutanta.

— Zbudzić wszystkich sierżantów. Komendant trenu, Mroczkowski, wyda amunicję dla żołnierzy.

— Według rozkazu.

Wychodzi z pociągu adjutant. Patrząc na zegarek. Czwarta godzina rano. Deszcz wali w szyby pociągu. Spoglądam przez szybę. Stoimy w polu. Coś jest — myślę — tak w nocy na gwałt amunicję rozdać, to coś jest.

Przypasuję szablę, bezpiecznik brauninga odmykam i wyskakuję z pociągu.

Ruch wielki koło wagonów. Pięć czy sześć pociągów stoi na torze kolejowym, a w każdym batalion nowego wojska. Z trudem odszukałem zaspanych sierżantów, plutonowi formują plutony, rozdajemy na gwałt amunicję.

— Co jest? — pyta mnie sierżant dwunastej kompanii, Szczerba.

— Piorun wiel!

— Zdaje się, na linię ognia teraz pojedziemy